

Via Regia - przejście z Kamenz do Königsbrück

13 października 2012 roku ponownie spotkalismy się na szlaku Via Regia. Jest nas tym razem pełen autobus. Rozpowiadanie sąsiadom i znajomym o takich fajnych spacerach oraz relacje z poprzednich przejść zrobiły swoje. Chętnych, którzy zgłosili się tym razem jest tak dużo, że chyba nikt się tego nie spodziewał. Ale to dobrze. Zawsze w większej grupie jest raźniej, więcej się dzieje. Oczywiście prowadzący ma trudniejsze zadanie, bo nie jest prosto zapanować nad tak liczną grupą, jednak Emil Mendyk, który rusza razem z nami, ma w tym wprawę. Pewnie da sobie radę. Dzisiejsza wycieczka jest ostatnią w tym roku z cyklu pieszych przejść, jakie zostały zorganizowane w ramach wspólnego polsko-niemieckiego projektu pod nazwą: „Via Regia - poznać Europę - od historii do przyszłości”. Organizatorem projektu jest, ze strony polskiej Stowarzyszenie Południowo-Zachodnie Forum Samorządu Terytorialnego "Pogranicze" z Lubania, a ze strony niemieckiej Christlich-Soziales Bildungswerk Sachsen z Miltitz. Uczestniczący w pieszym przejściu mają zapewniony w ramach wspomnianego projektu darmowy przejazd autobusem z Lubania do Kamenz i z Königsbrück do Lubania. Mają także znajomego się na rzeczy prowadzącego oraz opiekunów. Nic zatem nie może przeszkodzić w realizacji głównej myśli jaką jest przejście trasy, którą od wieków podążają pielgrzymi zmierzający do Santiago.

My, jak zwykle, spotkaliśmy się przy zajezdni PKS w Lubaniu, gdzie czekał na nas autobus, a w nim znany z poprzednich wycieczek kierowca, który już dawno przestał się dziwić naszemu dziwactwu, jak niektórzy mówią o tych wyprawach. Nie tracąc czasu wyruszyliśmy w drogę do Zgorzelca, by zabrać pozostałych uczestników wycieczki. Wśród czekających na nas przy moście Staromiejskim byli piechurzy z Wrocławia. Natomiast spora ekipa niemiecka miała tą przewagę nad nimi, że była z nimi Helenka Winter z Görlitz, najmłodsza uczestniczka naszych przejść.

Gdy tylko ruszyliśmy niektórzy od razu wyjęli kanapki. Okazało się, iż w pośpiechu nie zdążyli zjeść śniadania. Na szczęście mamy godzinkę na dojazd do Kamenz. Wbrew zapowiedziom w telewizji wyszło słońce i robi się coraz ładniej. Patrząc na mijaną okolicę wydaje mi się, iż obłoki na niebie szybko suną do przodu razem z nami, natomiast las i widoczne później zabudowania pozostają z tyłu. Wkrótce ukazuje nam się wieża kościoła w Gröditz. To tam, gdzie podczas jednej z poprzednich wędrówek poznaliśmy Dietmara ze schroniska św. Marty i jedliśmy pyszny gulasz w stołówce znajdującej się w starej stodole. Ledwo przypomnieliśmy sobie te piękne chwile już za oknem widzimy Budziszyn, przepiękne miasto, z ogromną ilością zabytków. Myślę, że nikt, kto zawita w te strony nie ominie Budziszyna, zwłaszcza, że z drogi widzimy kilkanaście wież. Już sam ten widok zachęca do zjechania z autostrady.

My skręcamy na wysokości miejscowości Ujazd, przy jednym z 40 kościołów nazywanych autostradowymi. Jest to nowość. Kościoły te mające służyć podróżującym autostradami, często są czynne przez całą dobę. Tak aby kierowca, który ma taką potrzebę mógł zatrzymać się i pomodlić w Domu Bożym. Przejeżdżając obok miejscowości Miltitz dowiadujemy się, że to właśnie tutaj ma swoją siedzibę niemiecki organizator naszej wycieczki.

Ale oto jesteśmy w Kamenz. Dostrzegamy białą wieżę kościoła NMP, nieco dalej widać drugą mniejszą o kolorze czerwonym. Stoi ona w miejscu usytuowania dawnej baszty bramnej. Pierwszym ciekawym obiektem jaki spotykamy na swojej drodze jest słup poczty saskiej z 1725 roku. Wryto na nim odległości do poszczególnych miast, w tym do Königsbrück, miasta do którego będziemy zmierzać. Przed nami biały szczyt kościoła św. Anny a obok przeszklony budynek Informacji Turystycznej, z której przechodzi się do muzeum mieszczącego się właśnie w tym kościele. Pełni on obecnie funkcje muzealne. Wita nas tutaj w imieniu burmistrza miasta, pan Jörg Bäuerle, jego zastępca, który jak swoją pracę wykonuje na zasadach wolontariatu.

Okazuje się, że w roku obecnym kościół ten obchodzi piękny jubileusz. Poświęcono go równo pięćset lat temu. Obecnie świątynia ta należy do międzynarodowej sieci dróg Via Sacra. Są w nim zgromadzone najcenniejsze obiekty sakralne pogranicza polsko - niemiecko - czeskiego. Początkowo wydaje nam się on wielką pustą przestrzenią. Są tu ustawione plastikowe krzeselka i kilka nowoczesnych rzeźb będących efektem polsko-niemieckich warsztatów artystycznych. Jednak po

chwili dostrzegamy wiszące na filarach ołtarze. Patrzymy na nie i nie możemy oderwać od nich wzroku. Powiedzieć, że są one piękne to za mało. Są przepiękne. W pierwszym widzimy Marię z Jezusem i Św. Annę. W drugim św. Franciszka, ukazującego swoje stygmaty. W trzecim (tutaj głównym) widzimy św. Annę i Marię oraz dzieciątko. Na bocznych skrzydłach ołtarza umieszczono rzeźby przedstawiające siostry Marii, także Marie. Aby je odróżnić dodano im imiona ojców. I tak pierwsza była Maria Kleofasa, druga Maria Salome. W czwartym ołtarzu widzimy Boga Ojca stojącego w towarzystwie Św. Franciszka i św. Bernarda. Ostatni ołtarz przedstawia Marię otoczoną złotymi promieniami. W ołtarzu tym przedstawiono scenę nawiedzenia Marii. Pokazano tu spotkanie ciężarnej Marii ze św. Elżbietą noszącą w łonie Jana Chrzciciela. Przekaz mówi, że w trakcie tego spotkania oboje dzieci nawiązały ze sobą pierwszy kontakt, jeszcze przed ich narodzinami.

Przed wyjściem ze świątyni najmłodsze uczestniczki wypatrzyły ustawione flagi. Jest cały komplet, czyli niemiecka, unijna i polska.



Kościół św. Anny w Kamenz. Foto: Krzysztof Tęcza

Idziemy zwiedzać miasto. Po drodze dowiadujemy się wielu ciekawostek z jego historii. Chyba najciekawsza to ta, że gdy w 1565 roku podjęto decyzję o rozwiązaniu klasztoru, wpisano w niej postanowienie o zachowaniu kościoła. Przyczyniło się to do uratowania pięknego ołtarza w czasach, w których nie tylko niszczone wszelkie ozdoby ale także wręcz rozbierano, uważane za zbędne, całe świątynie.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zwiedzanego kościoła, widzimy budynek, w którym znajduje się muzeum Gottholda Ephraima Lessinga. Wzniesiono go w dwusetną rocznicę urodzin pisarza, a otwarto w 1931 roku. Jednym z najbardziej znanych dzieł Lessinga jest Natan Mędrzec – pięcioaktowy dramat, w którym zawarł on przypowieść o pierścieniu.

Wielki zielony gmach jaki właśnie widzimy to budynek szkolny. Ciekawe są umieszczone nad dwoma wejściami napisy. Pierwszy zachęca do uczenia się mądrości, drugi do ćwiczenia cnoty. Pierwszymi drzwiami wychodzą ze szkoły chłopcy, drugimi dziewczynki. Jednak najciekawszy jest napis widniejący w bruku placu pomiędzy szkołą a kościołem. Jest to cytat ze św. Franciszka z Asyżu, „Czyń najpierw to co konieczne, potem to co możliwe, i nagle okaże się, że możesz uczynić to co niemożliwe”.

Na teren starego miasta wchodzimy przez bramę wykutą w murze przez Franciszkanów, którzy po pożarze musieli, zgodnie z decyzją władz, nowy klasztor wybudować poza murami

miejskimi. Po pewnym czasie udało im się załatwić zgodę na wykonanie przejścia skracającego drogę do centrum.

Wykorzystujemy to i dochodzimy do ratusza zbudowanego z czerwonej cegły. Oczywiście obecny wzniesiono po pożarze jaki miał miejsce w roku 1842. Architektem tej budowli był Schramm, który jednak wykorzystał przy pracach projektowych szablon K. Schinkla, twórcy przebudowy zamku królewskiego w Mysłakowicach. Na 40-metrowej wieży ratusza umieszczono herb miasta Kamenz, w którym widzimy barwy miasta (kolor biały i czerwony) oraz barwy Górnych Łużyc (kolor żółty i niebieski).

Kamenz już od pół tysiąca lat jest miastem targowych. Tradycyjnie jarmarki odbywają się tu w każdy czwartek. Nas jednak zaciękało co innego. Ujrzelśmy bowiem wychodzących z ratusza ludzi z dziećmi. Zapytaliśmy o co chodzi. Okazało się, że mają tu ciekawy zwyczaj upamiętnienia nowych obywateli miasta. Burmistrz podejmuje w ratuszu rodziny z narodzonymi w ostatnim roku dziećmi, a później wszyscy są świadkami sadzenia nowych drzewek, poświęconych każdemu z dzieci.

Fajna sprawa!

Wśród budynków usytuowanych na rynku wyróżnia się duża budowla z mieszczącą się w niej



Restauracja "Złoty Jeleń". Foto: Krzysztof Tęcza

restauracją „Złoty Jeleń”. Okazuje się, że jest to najdłużej działająca gospoda. Posiłki podaje się tutaj już od ponad pięciuset lat. To tutaj wyprawiono ucztę gdy narodził się mały Lessing. Budynek ten ma jednak swoją tajemnicę. Początkowo nie wiadomo było dlaczego podczas wielkiego pożaru w 1842 roku, kiedy to spłonęło niemal całe miasto, on ocalał. A sprawa wyglądała następująco. Dawno temu zawitała tu cyganka. Gdy posiliła się, nie mając czym zapłacić zaproponowała właścicielowi, że zamiast tego odmówi błogosławieństwo chroniące dom przed ogniem. Ponieważ w tamtych czasach strach przed pożarem był olbrzymi, właściciel przystał na taki rodzaj zapłaty. I ponoć właśnie to ocaliło dom przed

późniejszym ogniem. Warto zatem okazać czasami odrobinę

wyrozumiałości i dobroci dla innych.

W historii Kamenz jest jedna niezbyt chlubna chwila. Było to w czasie wojny 30-letniej. W założonej tu mennicy wytwarzano pieniądź będący chyba najgorszym w tamtych czasach środkiem płatniczym.

Pora jednak ruszyć dalej, bo jak tak dalej pójdzie, to nie wyjdziemy dzisiaj z Kamenz. Jest jednak jeszcze jeden obiekt, który musimy obejrzeć. To kościół Najświętszej Maryi Panny. Idziemy do niego uliczką wyłożoną starym brukiem. Obok widzimy na filarach metalowe haki. Zaciekawieni pytamy czemu one miały służyć. Okazuje się, iż to właśnie tutaj wieszano tusze mięsa, którymi handlowano.

Ale oto dochodzimy do kościoła. Od razu naszą uwagę przykuwają, umieszczone na 63-metrowej wysokości wieży, piękne kamienne rzygacze. Każdy z nich przedstawia coś innego. Jest czworonożne zwierzę z ludzką głową, jest takie same z głową wilka? Kolejne to na pewno postać mały. Ale jest też rubaszna świnka z pierścieniem na palcu. Pierwotnie w tym miejscu znajdowała się

wieża strażnicza. Od czasu jak miasto zdobyli Husyci organizowana jest tu procesja dziękczynna i błagalna. Mówi się, że oszczędzono wtedy mieszkańców choć faktem jest, iż zginęło ich wówczas ponad tysiąc. Co roku organizuje się tu także, w święto leśników, marsz ubranych w białe szaty dzieci, które zmierzają naprzeciw Husytom.



Kościół NMP w Kamenz. Foto: Krzysztof Tęcza

Wnętrze świątyni jest dla nas całkowitym zaskoczeniem. Te sklepienia, łuk triumfalny ozdobiony krzyżem i rzeźbami, no i sam ołtarz główny. Jest na co popatrzeć. W czasach kiedy zmuszono księży do odejścia od katolicyzmu dobudowano emporę. Uwagę zwraca bogato zdobiona łoża. Najpiękniejszym jednak obiektem jest wspomniany już ołtarz przedstawiający św. Marię trzymającą na rękach dzieciątka. W bocznych płycinach umieszczono św. Andrzeja (po prawej) i św. Krzysztofa (po lewej). Postać św. Krzysztofa ukazywana jest w kościele tak rzadko, że nie mogłem odmówić sobie zrobienia zdjęcia z moim patronem.

Oprowadzający nas po kościele uświadomił nam, że nie zawsze warto być mądrym. No może warto być ale nie należy się z tym obnosić. Otóż ostatni prowadzący ku Bogu zakonników opat był, jak na tamte czasy, tak wielkim uczonym, że zwykli ludzie, zaczęli podejrzewać go o konszachty z diabłem. Było to tak silne, że o to samo oskarżono nawet jego synową. Dla pewności spalono ją na stosie.

Kościół ten położony jest na trasie szlaku św. Jakuba i w związku z tym możemy otrzymać tu stosowną pieczętkę do paszportu pielgrzymiego. Niektórzy z tego skorzystali i będą mogli pochwalić się nią w domu.

My wróciliśmy na rynek gdzie zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek. Przy okazji obejrzelśmy ze wszystkich trzech stron fontannę ufundowaną przez burmistrza Andreasa Günthera w roku 1570 z okazji odzyskania utraconych przez miasto przywilejów.

Ponieważ byliśmy bardzo zadowoleni z tego co tu zobaczyliśmy poprosiliśmy burmistrza aby ustawił się z nami do wspólnej fotografii na tle ratusza. Na koniec Jörg Bäuerle pobłogosławił nas na dalszą wędrówkę i wyruszyliśmy w drogę.

Mijając pomnik żołnierzy radzieckich poległych podczas II wojny światowej wchodzimy do niezwykłego parku. Obecnie mieszkańcy nazywają go Parkiem Ludowym. Idąc aleją można wypatrzyć wśród drzew głaz z wyrytym nazwiskiem Wilhelm Weisse. To właśnie jego praca dała początek temu założeniu. Jesteśmy już trochę zmęczeni więc większość z nas omija samo wzgórze z widoczną wieżą



Ratusz w Kamenz. Foto: Krzysztof Tęcza

widokową Hutberg. Powoli schodzimy na dół do widocznej drogi asfaltowej, przy której pasą się koniki. Staramy się podsuwać im jabłka, spadające z przydrożnych drzew. Same bowiem nie mogą do nich sięgnąć poprzez ogrodzenie. Powoli nasza grupa rozciąga się. Wkrótce ci ostatni nie widzą czołówek. Ale to nic. Przy pierwszym przystanku na odpoczynek znowu będziemy razem. Przyglądamy się jeszcze jak olbrzymi ciągnik jeździ po polu. Aby jechać równo ma on zamocowaną długą tyczkę na kole, która znaczy ślad w ziemi. Nawracając traktorzysta jedzie środkiem tego śladu i w ten sposób nie pryska dwa razy tego samego miejsca. Gdy mijamy mały laszek widzimy ustawiony przy drodze słupek poczty saskiej z datą 1723. Zaraz za nim docieramy do miejscowości Schwosdorf. Tam robimy dłuższy odpoczynek. Musimy poczekać, gdyż nasi niemieccy wędrowcy zapodziali się gdzieś. Wkrótce pojawiają się oni na horyzoncie i znowu jesteśmy w komplecie. Na mijanym drogowskazie napisano, że do Königsbrück mamy jeszcze 10 kilometrów. Trochę nas to przeraża. Myślę jednak, że damy sobie radę. W końcu nasze dzisiejsze przejście jest dużo krótsze niż normalnie. Zaplanowana trasa liczy niespełna dwadzieścia kilometrów. Próbuje zaprzyjaźnić się ze stadem muflonów. Niestety te najwyraźniej nie podzielają naszych zamiarów.

Idziemy zatem dalej w stronę domu pielgrzyma. Na drzewie widzimy ciekawy znak. Jest to malunek przedstawiający czerwonego dzięcioła (chyba). Co jakiś czas stoją przy trasie małe drewniane altanki, w których można odpocząć. Nie mamy jednak czasu na to. Docieramy do Reichenau. Tutaj Emil zarządza kolejny, ostatni już w dniu dzisiejszym, odpoczynek. Rozkładamy się na trawie przy płynącej

rzeczce. W bystrym nurcie odbijają się promienie słoneczne. Wszyscy robią sobie pamiątkowe zdjęcie ze stworkiem zrobionym z dwóch bel siana. Ponieważ stworkowi brakowało jednego oka Kryśa użyczy mu swojego kapelusza. Zawiesza go na wbitym patyku i stworek jest jak nowy. Nie wszyscy zwracają na to uwagę ale w tle owego stworka widać ładnie zdobioną



fasadę pałacu. Umieszczono na niej herb z dwoma lwami.

Najedzeni wyruszamy na ostatni już etap naszej dzisiejszej wędrówki. Pozostało nam już tylko dojście do zaplanowanej mety. Prowadzi nas umieszczony na drogowskazie mini ludzik. Wszyscy się nim zachwycają. Chyba nie ma nikogo kto nie zrobił mu zdjęcia. Wchodzimy w las. Wyraźnie czuć zapach grzybów. Część z nas w ich poszukiwaniu zapuszcza się między drzewa. Po chwili słyszymy okrzyki zadowolenia. Jak się okazało niektórzy znaleźli grzyby. Prawdziwe, jadalne. Są uradowani z tego faktu.

Powoli zaczynam doganiać czołówkę. Niestety trochę do nich straciłem. Gdy podchodzę bliżej słyszę, że zachowują się oni jak prawdziwi pielgrzymi. Odmawiają głośno modlitwę. Po chwili zaczynają śpiewy.



Doszlśmy do Königsbrück. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale oto widzimy ułożony w poprzek drogi kamień z wyrytą na nim muszlą św. Jakuba i napisem „Willkommen in Königsbrück”. To wyraźny znak, że docieramy do celu. Najpierw jednak osiągamy kolejny punkt wypoczynkowy, z którego jednak nie korzystamy. Idący przodem poszli dalej. My postanowiliśmy zrobić pamiątkowe zdjęcia bo jest tu kilka ciekawostek. Przede wszystkim miniaturowa figurka przedstawiająca św. Jakuba. Rzeźba ta urzekła nas. W trawie obok dostrzegamy mały grób. Zaintrygowało nas to. Przecież wiadomo, że w dzisiejszych czasach nie można robić pochówków poza cmentarzami. A tutaj, umieszczono na tablicy datę narodzin i śmierci. Jest także jakiś tekst, oczywiście po niemiecku. Próbuje go przetłumaczyć. Ponieważ wychodzi nam jakaś niedorzeczność, szukamy kogoś lepiej znającego ten język. W końcu okazuje się, iż oto ktoś pochował w tym miejscu swoją ukochaną świnkęorską. Zagadka została rozwiązana.



Figurka św. Jakuba. Foto: Krzysztof Tęcza

Musimy teraz ostro ruszyć do przodu by dogonić grupę. Udaje nam się to przy znaku drogowym oznajmającym, że właśnie wchodzimy do Königsbrück. Zrobiliśmy sobie nawet pamiątkowe zdjęcie. Wkrótce pojawiają się chodniki. Jesteśmy przecież w mieście. Co chwile mijamy jakieś ciekawostki. Jednak czas nas nagli. Jesteśmy umówieni z panem Wernerem Lindnerem, miejscowym miłośnikiem regionu oraz z panią Morawiec, która obiecała przynieść dla nas trochę literatury. Po drugiej stronie ulicy, na skwerku, stoi



Werner Lindner demonstruje na tle ratusza klucze od kościoła w Kamenz. Foto: Krzysztof Tęcza

bardzo ładna rzeźba przedstawiająca dziewczynkę. Niewielu z nas ją zauważa.

Docieramy wreszcie do rynku, gdzie spotykamy umówione osoby. Pan Werner trzyma w ręku pęk kluczy. Są one tak niezwykle, że proszę go by zademonstrował je na tle ratusza. Wychodzi całkiem zgrabne zdjęcie. Teraz Werner, bo już się znamy, opowiada nam o mieście. Mówi, że Via Regia to od wieków przyczyna rozwoju miasta. Natomiast rynek, na którym stoimy, to miejsce odpoczynku dla pielgrzymów. Istnieją przekazy, że bywały czasy kiedy rynek nie był w stanie pomieścić przybywających tu wozów. Do obsługi wędrowców zbudowano aż trzy gospody. Widoczny ratusz został wzniesiony w 1847 roku, już po wielkim pożarze jaki miał tu miejsce.

Ruszamy za naszym przewodnikiem, który obiecał nam pokazać coś wyjątkowego. Wkrótce trafiamy do kościoła. Wystrój tej świątyni nie wywołuje w nas euforii. Werner mówi, iż jest to już trzecia

budowla wzniesiona w tym miejscu. Poprzednia spłonęła w 1631 roku, a ta pierwsza w 1431. Przybywający tu pielgrzymi zawsze mogli liczyć na odpoczynek zarówno dla ducha jak i ciała. Aby przełamać dystans między nami, Werner Lindner bierze do ręki jeden z modlitewników leżących na ławkach i pokazując, że są w nim pieśni w różnych językach (także po polsku), prosi byśmy zaśpiewali wspólnie jedną z nich. Początkowo idzie nam to trochę nieskładnie ale szybko łapiemy wspólny rytm i już rozbrzmiewa w kościele zgodny chór, w którym przygodny obserwator usłyszałby różne języki. My bowiem śpiewaliśmy po polsku a wędrowcy z Niemiec po niemiecku. Teraz, gdy jesteśmy już nieco swobodniejsi Werner opowiada nam o Łużycach. Rysuje kredą na ustawionej tablicy granice Łużyc i pokazuje jak przechodzi przez nie szlak pielgrzymi. Obecnie Łużyce przedzielono granicą państwową na dwie części. Jedna jest po stronie niemieckiej, druga po stronie polskiej.

Ciekawym faktem z historii miasta jest to, że było ono katolickie, mimo iż wokół panowali ewangelicy. Stało się tak gdy zadłużony król czeski oddał miasto w zastaw, podpisując przy tym umowę, według której sprawami kościelnymi i religią na tych terenach, w dalszym ciągu zarządzał będzie on. Doprowadziło to do tego, iż w momencie kiedy Saksonia stała się krajem ewangelickim i nakazano likwidację klasztorów, na Łużycach nic takiego się nie stało. Były one przecież pod opieką króla czeskiego, będącego katolikiem. Sytuacja taka spowodowała uratowanie przed niechybnym zniszczeniem wielu zabytków, będących w dniu dzisiejszym prawdziwymi perełkami. Jest zatem z czego się cieszyć.

Werner, chcąc pokazać swoje osiągnięcia, pochwalił się, że przeszedł pieszo całe Łużyce z jednego końca do drugiego. Obecnie szykuje się do kolejnego przejścia, tak by obie trasy po ich nałożeniu na mapę utworzyły znak X. Jego wędrówka ma na celu poznanie szlaku, poznanie położonych wzdłuż niego zabytków ale także poznanie spotykanych podczas marszu mieszkańców i innych pielgrzymów. Całość swojej wypowiedzi ujął w jednym, jakże wymownym zdaniu. „Ślimak może więcej powiedzieć o drodze niż zając”. Jakież to trafne. Nikt, nie powie przecież, że ten kto idzie

powoli i rozmawia z napotkanymi ludźmi będzie mniej wiedział od osoby, która przemknie tylko szlakiem, nie zważając na to co widzi po drodze.



Wspólne śpiewanie pieśni religijnej. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ czas naglił, a nas interesował ładny ołtarz, dowiedzieliśmy się, iż ma on ciekawą historię. Początkowo zbudowany jako typowy dla tego terenu, w roku 1890 został zastąpiony nowym, tak samo jak reszta wyposażenia w kościele. Wierni w tamtym okresie uznawali inne wartości i ołtarz ten jako zbyt wystawny nie znalazł uznania w ich oczach. Znaleźli się jednak ludzie uważający inaczej i schowali jego elementy. W ten sposób przetrwały one aż do końca II wojny światowej, kiedy to postanowiono ponownie je złożyć i na powrót umieścić w kościele.



Werner Lindner nakręca mechanizm dzwonów. Foto: Krzysztof Tęcza

Słuchając tych opowieści nawet nie zauważyliśmy, że zrobiło się późno. Jednak nasz gospodarz czuwał cały czas. Okazało się, że do jego obowiązków należy wejście na wieżę kościelną i uruchomienie dzwonów tak by te wybiły godzinę 17-tą, co zwiastowało mieszkańcom nadejście niedzieli. Można zatem powiedzieć, że Werner wchodzi na wieżę w sobotę, a schodzi w niedzielę. Mieliliśmy dwa wyjścia. Albo żegnamy się, albo idziemy razem na wieżę, by podziwiać z niej widoki. Oczywiście nie możemy przepuścić takiej okazji. Ruszamy wszyscy stromymi schodami, których naliczyłem ponad 100, i wchodzimy do pomieszczenia zwanego „izdebką”. Jest tutaj stół z wyłożoną na nim księgą pamiątkową, w której Emil umieścił stosowny wpis. Są krzeselka. To dobrze bo niektórzy muszą usiąść z wrażenia, jakie wywołuje chwiejąca się drewniana podłoga. Na ścianach wiszą stare fotografie przedstawiające jak wyglądały niektóre budowle miejskie przed wojną. Najciekawszym jednak obiektem znajdującym się tutaj jest wielka szafa kryjąca urządzenie do uruchamiania dzwonów. Werner przy pomocy korby nakręca mechanizm i słyszymy głos dzwonów. Gdy te milkną (po pięciu minutach) rozpoczyna się wybijanie godziny. Liczymy: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Zgadza się, jest piąta po południu. Ale oto słyszymy kolejne uderzenie dzwonu, jeszcze jedno, i jeszcze... Co jest? - myślimy. Zacięło się coś? Liczymy bo może tych uderzeń będzie siedemnaście. Jednak nie. Dzwony milkną po dziewiątym uderzeniu. Jesteśmy całkowicie zdezorientowani. Nikt nie



Talar św. Jakuba. Foto: Krzysztof Tęcza

wie o co chodzi. Trzeba koniecznie to wyjaśnić. Najpierw jednak wychodzimy na zewnętrzny taras i obchodzimy wieżę dookoła. Jesteśmy ponad czterdzieści metrów nad ziemią. Nie ma zatem co się dziwić, że niektórzy czują się nieswojo. Wiejący wiaterek też nie pomaga. Jednak widoki warto się by się poświęcić.

Gdy zeszliśmy na dół od razu pytamy o zagadkę związaną z ilością uderzeń dzwonów. Niestety tłok jaki zapanował w małym pomieszczeniu i harmider (każdy mówił o swoich wrażeniach) nie pozwolił na dokładne zrozumienie wyjaśnienia. Wychodzi na to, że każde z uderzeń to znak dla wiernych do odmówienia kolejnego z wezwań zawartych w modlitwie „Ojcze nasz”. Teraz Werner, będąc

pewnym, że z wrażenia zaschło nam w gardle, proponuje poczęstunek. Na ławeczce stoją kubki oraz dzbanki z wodą i winem. Każdy sam musiał zdecydować czym najlepiej ugasi pragnienie. Kłopotu z podjęciem decyzji nie mieli tylko ci, którzy później będą prowadzić swoje samochody.

Teraz czekała nas jeszcze jedna niespodzianka. Otrzymaliśmy od gospodarza „Talary św. Jakuba”. Na ich opakowaniu wydrukowano napis: „Talar św. Jakuba, wyprodukowany z ciasta piaskowego, może być przeznaczony do spożycia w czasie trudu pielgrzymiego dla wędrujących szlakami Via Regia. Znajdująca się tu muszla jest od wieków znakiem pielgrzymów podążających z różnych stron świata do grobu Jakuba. Szlak wyznaczony na nowo w 2003 roku ma połączenia z innymi szlakami prowadzącymi do Hiszpanii i w ten szczególny sposób łączy ludzi i kraje. Niech Bóg błogosławi nas wszystkich”.



Rzeźba kobiety trzymającej prosiaczka. Foto: Krzysztof Tęcza

Po takich przeżyciach nie pozostało nam nic innego jak wspólne odmówienie „Ojczy nasz” (każdy, tak jak poprzednio, mówił w swoim ojczystym języku) i pożegnanie. Ci, którzy mieli taką potrzebę, zostali by otrzymać specjalną pieczęć potwierdzającą przybycie do tego miejsca. Ci, którzy nie czuli takiej potrzeby, ruszyli w stronę czekającego na nas autobusu, wypatrując jeszcze po drodze czy nie znajdą czegoś ciekawego. I nie zawiedli się. Najpierw dojrzeli w budynku po drugiej stronie ulicy portal z umieszczonym nad nim białym łabędziem a chwilę później rzeźbę przedstawiającą kobietę trzymającą na rękach małego prosiaczka. Oboje, zarówno kobieta jak i prosiaczek mieli tak urocze miny, że długo staliśmy wpatrzni w ich oblicza myśląc które z nich wygląda rozkoszniej. Autor tego dzieła osiągnął mistrzostwo. Dawno nie spotkalismy tak pięknej rzeźby.

I tym miłym akcentem zakończyliśmy nie tylko dzisiejszą wycieczkę ale całoroczne podróże szlakiem Via Regia. Dzięki udziałowi w tych, co prawda dosyć długich przejściach, poznaliśmy wiele miejscowości, zabytków, ciekawostek, ale nade wszystko poznaliśmy wielu ciekawych, miłych i przyjaźnie nastawionych ludzi. Zawiazaliśmy nowe przyjaźnie. Przekonaliśmy się, że można przyjemnie spędzając czas osiągnąć spokój ducha i zmienić swoje

nastawienie do otaczającego nas świata. Dzięki wspólnym podróżom przekonaliśmy się, że nie należy bać się wyruszać w nieznane, bo spotykani po drodze ludzie mimo, iż są innej narodowości, wcale nie różnią się od nas tak bardzo. Oni także są ciekawi nowych znajomości i z ochotą słuchają naszych opowiadań. Dzięki temu gdy innym razem to oni przybędą do nas będą wiedzieć, że u nas także mogą liczyć na życzliwość i pomoc z naszej strony.

Krzysztof Tęcza